

Obraz Mazurów w „Dzieciach Jerominów” Ernsta Wiecherta

Anita Romulewicz

Dwutomowa powieść Ernsta Wiecherta pt. *Dzieci Jerominów* powstała w latach 40-tych XX wieku. Tom I ukazał się w 1945 r., dwa lata później tom II (w 1947). Książka stanowiła kolejną pozycję w bogatym już dorobku pisarza. Obecnie uznawana jest za najwybitniejsze dzieło autora, w którym dał on wyraz dojrzałej postawy humanisty, zdecydowanie sprzeciwiającego się wszelkim ograniczeniom wolności człowieka. Powieść osadzona jest głęboko w osobistych doświadczeniach pisarza. Budując opowieść o losach rodziny Jerominów z małej, zaszytej w lasach mazurskich wsi Sowiróg (nazywanej też Sowim Zakątkiem), tworzy symboliczny zapis własnej ojczyzny duchowej. To tu autor skoncentrował w formie sagi rodzinnej rozpiętej na przestrzeni kilku dekad własny zapamiętany obraz społeczności mazurskiej, z której wyrósł i której był częścią.

Dzieci Jerominów to niezwykle bogaty przekaz. Może on być przedmiotem pogłębionej analizy badaczy wielu dziedzin, filologów, filozofów czy teologów, a poprzez swój uniwersalny wymiar jest cennym źródłem refleksji. Przede wszystkim stanowi ciekawą i przejmującą opowieść o ludzkich losach, osadzoną zarówno w scenerii ubogiej wsi położonej w okolicach Piza, jak i wschodnioporuskich miast i miasteczek z początku XX wieku. I choć Ernst Wiechert w powieści kreuje geograficznie niewielką przestrzeń życia Mazurów, to jest ona na tyle symboliczna, że można pokusić się o pewne uogólnienia na temat sposobu życia oraz cech typowej społeczności mazurskiej.

Podglądanie dawnego świata Mazurów warto rozpocząć od spojrzenia na otoczenie, w jakim żyli, na środowisko, które ukształtowało i warunkowało ich trwanie. W powieści odnaleźć można kilka barwnych opisów Sowirogu, a oto jeden z nich:

„Wśród jezior i bagien owej wschodniej krainy położone są te wsie z szarymi dachami i ślepyimi oknami, ze studniami z żurawiem i kilkoma dzikimi gruszami na kamienistych miedzach. Otacza je wielki bór, wysklepia się nad nimi wysokie niebo z ciężkimi chmurami, między rozpadającymi się płotami biegnie piaszczysta droga. Wychodzi z rozległych lasów i znów wśród nich ginie. Chodzi nią listonosz, jeszcze częściej żandarm, czasami pochód weselny barwny i hałaśliwy przeciąga po głębokich koleinach. Najczęściej jednak droga jest cicha i pusta, i tylko młode brzoźki rzucają smukłe cienie na zrosnięte trzciną rowy. (...) Takie są też i owe wsie.”

Dom mazurski był skromny, najczęściej otoczony drzewami owocowymi i ogrodem. Składał się z kilku izb, a jego ośrodkiem była kuchnia z paleniskiem i fajerkami. To w niej, jak mówił najmłodszy z Jerominów – Jons „naftówka zawieszona pod belką rzucała na wszystkich posepny blask, gdzie każdy miał inne zajęcie i mówił własnym językiem”. Właśnie w kuchni, szczególnie dzieci i starzy ludzie chętnie przesiadywali przy ogniu, jedni opowiadając, inni słuchając opowieści. W alkowach na piętrze, gdzie sypiali domownicy, często było tłoczno, zwłaszcza w licznych rodzinach, a zimą mimo grubych pierzyn i zabitych okien „ogaconych grochowinami, bywało tak chłodno, że w blasku księżyca dostrzegało się parę oddechu”. Wnętrza były raczej niskie i ciemne, choć mieszkańcy nie zasłaniali okien, o czym świadczy zdziwienie Jonsa, kiedy będąc w wielkim mieście: „nie zaciągnął był zasłon, gdyż ich nie znał, a z wielu stron okna zwisało tak wiele sznurków, że bał się ich dotknąć”. Podobnie osobliwe wydały się chłopcu wielkie kamienne płyty, po których szedł ulicami miasta.

Dla Mazurów z Sowirogu, tak jak i większości mieszkańców Mazur głównym źródłem utrzymania były ziemia, las i jezioro. Nieliczną grupę stanowili reprezentanci administracji niemieckiej, urzędnicy, nauczyciele i żandarmi. Mieszkańcy pracowali na roli i sezonowo w lesie, również dzieci. Korzystali z tego, że ich pan, von Balk nie był panem chciwym. „W jego jeziorze

łowili ryby, krowy wyganiaли do jego lasów. Dachy kryli jego trzcina, palili torf z jego torfiarni. Niemal cały Sowiróg uprawiał mizerne zboże i ziemniaki na jego gruntach, które oddawał w dzierżawę.” O lesie i jeziorze wszyscy mówili jako o „swoim” lesie i „swoim” jeziorze. I jak czytamy w powieści: „Nie byli ich przyjaciółmi ani leśniczy, ani dozorca rybacki, żandarmski zaś kask rozpoznawali, ledwo wyłonił się nad horyzontem”. Jeden z bohaterów zapytany o las odparł, że do niego nie należy ani jedno drzewo, a mimo to las jest jego. Przy robotach leśnych mężczyźni karczowali pasy na zimowych porębach, układali chrust na sterty lub palili go, albo też na piaszczystej ziemi sadzili świerkową rozsadę. Budowali również drogi, równali skarpy, przewozili taczkami biały piach na inne miejsce.

Natomiast plony z pól Mazurzy z Sowirogu zwozili zaprząwszy krowy do niewielkich wozów, na których pracowały kobiety w białych chustkach na głowach. Gdy nie było pracy w polu, a dzieci odesłano do szkoły, szyły one, tkwały na krosnach, obrządzały obory, wyrabiały masło, prały w jeziorze klęcząc nad brzegiem, zajmowały się domem. Była też we wsi zielarka, „której lekarz mógłby pozazdrościć pewnej i szczęśliwej ręki”, karczmarz Cwallina, pastuch Piontek piekący grzyby w gorącym popiele i węglarz Jakub Jeromin ze swoim mielerzem, z którego węgiel drzewny szedł do okolicznych kuźni i piekarń. Nikt jednak nie był człowiekiem bogatym.

Zależność przetrwania od nieujarzmionej natury wytworzyła w chłopach mazurskich silny związek z przyrodą, przejawiający się pokorą wobec tego, co nieuniknione i wielką radością z udanych plonów. Tak oto w Sowirogu świętowano żniwa: Przed domem Jerominów, nad jeziorem, ustawili stoły. Była kawa, ciasto, po słodkiej wódce, a potem pionowe piwo, którego dostawę zamówił wcześniej w karczmie gospodarz pan von Balk. Śpiewali, a Gogun grał na harmonii. (...) Gdy kończyło się piwo, zaczynał się zgiełk. [Wtedy] Srebrzysty Wielki Wóz stał już w zenicie, a moczary zasnuwała gęsta mgła.”

Na co dzień jadano skromnie: chleb razowy, kawa zbożowa z blaszanki, czasem przyniesione z miasta w koszach bułki „spieczone razem po pięć”, zjadane do ostatniego okruszka, na śniadanie zupa mleczna albo gryczana bryja z wkruszonym chlebem, a cieszył złowiony szczupak lub lin. Jeśli w gospodarstwie zostawało nieco masła, śmietany, parę funtów ryb z jeziora, kobiety zносиły żywność na targ w powiatowym mieście. Ale bywało, że zostawał tylko czerstwy chleb ze słoniną. Za to w święta Wielkanocne piekli wielkie obwarzanki.

O ubóstwie mieszkańców Sowirogu świadczy również kontrast, jaki rysuje się podczas wizyty Mazurek w mieście, od której Wiechert rozpoczyna powieść: „Poszły raz jeszcze ulicą o dużych wystawowych oknach. Patrzyły zmęczonymi oczami na bogactwa, które leżały tam nieosiągalne dla nich (...) Zsunęły chusty z głów i głęboko oddychały. Ładne było to miasto, miejsce blasku i bogactw, cudowności i obietnic (...). Ale stopy bolały, nieprzywykłe do butów, pieniądze uszły z węzełka chusteczki, a mężczyźni popili się, gdy tylko znikli z oczu”. Odzież ich niewiele różniła się od noszonej w wiosce. Często była połatana. Przy powrocie z miasta buty, które wszyscy we wsi podkuwali, trzymały w ręku. Kobiety mazurskie czesały się gładko, czasem z przedziałkiem. Ubierały się w skromne jednobarwne, najczęściej czarne suknie, na które narzucały chusty. Te, którym udało się wysupłać trochę grosza miały na niedzielę chustkę jedwabną.

Dzieci natomiast nawet w święta biegały bose. Cieszyły je z kolei zabawki z drewna: koniki, wózek na kołach ze szpułek od nici, papierowe łódki puszczane w przydrożnych rowach. Przychodząc na świat, otrzymywały jedynie życie. Gdy dorastały dziedziczyły tylko biedę, z wyjątkiem najstarszego z synów, który mógł związać swoją przyszłość z ojcowskim gospodarstwem, zapewniając rodzicom w zamian tzw. dożywocie, czyli opiekę na starość. Jak pisze w powieści Wiechert: „Nadmiar młodszych synów, takich, którzy nie mieli przejąć dziedzictwa, przepadał w zachodnich miastach Rzeszy, zagrzebywał się pod ziemią w kopalniach, zapominał o lasach i bagniskach, opłacał zarobki i zyski banicją żyjących w

ciemności (...) Jeśli po wielu latach wracali w ojczyste strony, na krótkie, budzące podziw wsi odwiedziny, wciśnięci w miastowe ubrania, z żonami głupio i zarozumiale patrzącymi na nędzę, stawali tułacze nad brzegiem jeziora (...) Sławili swoje zarobki i życie, chwalili się swoim tam znaczeniem, lecz słowa te brzmiały pusto i fałszywie. Niejeden wykradał się o zmroku ku dzikiej gruszy rosnącej na miedzy, gdzie pogrzebane było jego dzieciństwo i przypatrywał się w przygnębieniu i ponurej żalości owej ubogiej krainie, która i jemu była obiecana, a którą opuścił dla miski soczewicy.”

Mimo tego wielu z młodych odchodziło ze wsi, uciekając przed biedą i ciemnotą, tak jak Gina Jeromin, która wyjechała do Berlina „żeby zostać bogatą i szczęśliwą, by zostać księżniczką jadającą na złoconych talerzach” i nie nosić już nigdy pończoch z owczej wełny, malować usta czerwonym kolorem, by tak jak jej siostra Maria nie musieć iść na służbę.

Rolą kobiet w Sowirogu, poza pracą, było stworzenie zbożnego domu pełnego dzieci. Trudy dnia codziennego wymagały od nich umiejętności praktycznego prowadzenia gospodarstwa, szczególnie, że wielu z mężów ciągnęło do pijaństwa i bójek. A mimo to – jak mówił Jakub Jeromin – „nawet najdumniejsza niewiasta zobowiązana jest brać pod uwagę męzowskie słowo (...) Tutaj nigdy nie żyło się inaczej”. W *Dzieciach Jerominów* nie spotykamy odmiennych postaw kobiet. Mazurki jak Eliza, siostra wiejskiego nauczyciela bywały surowe, ale nigdy niepokorne. Wyjątkiem jest dumna matka - Marta Jeromin, której litewskie korzenie nie pozwalały się ugiąć.

W szczególnie trudnej sytuacji znajdowali się ci członkowie społeczności, których nie omijały choroby i kalectwo. „Bo też na wsi ciało jest czymś więcej niż w mieście, jest najważniejszym i jedynym narzędziem. Jest najniezbędniejsze i zarazem najtańsze. Nie ma na wsi miejsca dla parobków, którzy przesiadują na ławce przed domem i opowiadają przygody. Nie dość jest tam słuchaczy, by dało się wyżyć z gry na katarynce lub harmonii.” Dlatego budzi współczucie osoba Christeana, niepełnosprawnego syna Jerominów, który choć bystry, utalentowany i chętny do nauki, skazany jest na łaskę innych. W tak trudnych warunkach los jest nieubłagany nawet dla bohaterów wojennych, którzy powracając z honorami, z czasem stanowią faktyczny ciężar dla współmieszkańców.

Wieś mazurska nieodmiennie oferowała jedynie trudy. W powieści Ernesta Wiecheta dominuje poczucie niesprawiedliwości społecznej związane z wykorzystywaniem Mazurów przez ludzi posiadających władzę i majątek. Szczególnie boli mieszkańców Sowirogu bezkarne uwodzenie kobiet i dziewcząt przez barona, który płodząc dzieci porzuca je skazując na głód i biedę. W świadomości Mazurów prawa możliwych są tak silnie zakorzenione, że uznawane za oczywiste. Jak dowiadujemy się z relacji nauczyciela, swój awans w ustalonej hierarchii społecznej, przypłacił on powszechnym ostracyzmem wśród swoich. Ponieważ wyrósł w rodzinie robotnika leśnego, powinien kontynuować jego pracę. Jak wspomina - „z początku wszyscy omijali mnie, jakbym miał całe ubranie w żywicy”. Dodaje też: „Dawniej (...) uchodziło niemal za świętokradztwo, jeśli biedak wyciągał dłoń po takie dobro”. Brak „owej sprawiedliwości na roli”, po którą ostatecznie wyrusza główny bohater sagi – Jons, szczególnie razila w obliczu śmierci biednych. „Jeśli umiera któryś z biedaków, [bogacze] niewiele sobie z tego robią. Sądzą widać, że nie bardzo odczuwamy, co to śmierć. Wpierw trzeba zaprawić śliwki - powiedziała pani - pogrzeb zaś jest dopiero jutro”. Również Jakub Jeromin skarży się synowi: „Zabierają nam zbyt wiele. Więcej niżli biorą od panów”.

Owo poczucie krzywdy jest przy tym nieodłącznie związane z silnie wpojonym poczuciem obowiązku i odpowiedzialności, szczególnie zaś z posłuszeństwem wobec władzy. Ludzie wierzyli, bowiem, że każda władza pochodzi od Boga, winni są zatem wierność i poddaństwo boskiemu cesarzowi, albo innemu obrazowi króla-władcy. W imię tej wierności na wojnę wyruszyło bezpowrotnie wielu mężczyzn z Sowirogu, większość ze śpiewem, niektórzy w cichości, wszyscy zniewoleni posłuszeństwem. Jak pisze Wiechert: „to właśnie w małych wioskach wyrasta najlepszy plon”. Ochotnikami w służbie cesarza zostali Jumbo,

Tobiasz i Jons, ale traktowali ją wyłącznie jako wypełnienie obowiązku, szli do walki bez jakichkolwiek patriotycznych uniesień. Postawa taka wynika z ograniczonego poczucia tożsamości z ojczyzną. Dla mieszkańców Sowirogu, jak i wielu Mazurów z innych wiosek i miasteczek ważniejsze jest raczej poczucie więzi w ramach społeczności lokalnej. A dlaczego? Ponieważ, jak podkreśla to dobitnie autor: „nikt ich nie kochał. Nie znaczyli więcej niż bydło w państwowych oborach. W czasach pokoju oddawali swą pracę i podatki, podczas wojny oddawali synów. Wielkie mowy i apele były dla nich przeznaczone, nie pomijały ich, ale serce nie miało w tym żadnego udziału”. Mimo to byli ulegli i pokorni. Niekiedy tylko budził się w nich gniew a nawet nienawiść do tych, którzy wydziedziczyli ich i wyobcowali, nie szczydzili razów i przekleli, żądając przecież danin, pieniędzy i synów, ciężarów i pańszczyzny. „Przeklinali zrazu, potem płakali, następnego ranka zaś, gdy jeszcze lśniły gwiazdy, brali znów siekierę na ramię i szli jeden za drugim na poręby, nogi owinawszy szmatami, gdy mróz rozłupywał drzewa”. Dlatego też dla wielu Mazurów nie miało większego znaczenia, czy wojna zakończy się zwycięstwem, czy klęską. Najwyższym dobrodziejstwem zawsze była dla nich praca i chleb.

Z tego samego związku Mazurów z własną ziemią i lokalną społecznością wynikał ich lęk przed zmianami oraz nieufność w stosunku do nowych przybyszów. W *Dzieciach Jerominów* możemy przeczytać, m.in. o tym jak Mazurzy wyprosili ze wsi plebiscytowego mówcę, jakim obcym krajem wydawała się dla nich Polska. Wiechert pisze: „Jeśli nawet myśleli o sąsiednim państwie, to niewiele o nim wiedzieli. Ale widzieli co roku, jak synowie i córki tego kraju ciągnęli w pielgrzymkach do katolickich miejsc świętych, położonych w ich rodzinnych stronach i widzieli, że była to gromada ubogich, zaniedbanych ludzi, przed którymi lepiej było drzwi i bramy zamykać.” Przerazała ich wizja przyłączenia się do kraju o odmiennym wyznaniu.

Nie zmienia to jednak faktu, że żyjąc we własnej bezpiecznej sferze wiary, wyróżniali się dużą akceptacją dla innych wyznań. Jan Roslan w swojej książce *Ernst Wiechert. Życie i dzieło* analizuje owe postawy bohaterów powieści. Badacz podkreśla, iż Wiechert świadomie buduje obraz Mazurów jako ludzi tolerancyjnych, kierujących się wobec przybyszów innej wiary szacunkiem i zrozumieniem. Dowodem na to jest wybór gospodarza Czai – baptysty na następcę Michała Jeromina, mędrca i autorytetu wiejskiego. Wieś nie bierze również udziału w nagonce na miejscowego Żyda, skazanego na śmierć. Warto zaznaczyć, że takie reakcje są wynikiem przede wszystkim osobistych doświadczeń i światopoglądu autora. Co ciekawe, mieszkańcy powieściowej wsi, choć świadomi swojej odrębności wyznaniowej w stosunku do katolików, zdradzają niekiedy brak znajomości zasad własnej wiary. Obce są im np. struktury i urzędy kościoła. W *Dzieciach Jerominów* czytamy o wizycie radcy konsystorskiego: „Gogun [stwierdził, że przybyły gość] z pewnością jest to biskup, być może przysłany przez cesarza, by dodał pastorowi odwagi. Zgłoszono wprawdzie zastrzeżenie, iż biskupa mają tylko katolicy, ale Gogun wyraził mniemanie, że w tak trudnych przypadkach chyba i ewangelicy mogą mieć prawo do biskupa”. Najważniejszym reprezentantem kościoła, ale przede wszystkim samego Boga pozostawał pastor, cieszący się wielkim autorytetem.

W nim Mazurzy z Sowirogu widzieli przewodnika i znawcę Słowa Bożego zawartego w Księdze Książ. Pastor dzięki niej mógł nieść wsparcie i pocieszenie w sytuacjach ciężkich prób, jakim Bóg poddawał ludzi ze wsi. Samą Biblię darzono w domach mazurskich wielką estymą. Była niejednokrotnie jedyną księgą czytaną regularnie i z petyzmem, a niekiedy, jak w domu Jerominów cytowaną przez seniorów z pamięci. Wiechert w swojej powieści wielokrotnie przytacza zarówno sam opis tej najważniejszej z ksiąg, jak i nawiązuje do motywów biblijnych kreując postacie i świat przedstawiony. O wielkim szacunku, jakim otaczano Biblię świadczy fragment: „Podczas ostatniego wieczoru siedzieli jak zwykle w kuchni, ale nikt nawet nie wspomniał o podróży, tak jakby następny dzień nie miał się różnić od innych. Lecz gdy Jakub podniósł się i zauważył, że pora udać się na spoczynek, dziadek

odwrócił oczy od ognia, popatrzył na Jonsa i powiedział: - Teraz, wnuku, posłuchaj! - Wszyscy wstali z miejsc, również Christean wsparty na kulach, dziadek zaś zaczął opowiadać historię Dawida i Goliata z pierwszej księgi Samuela.” Mazurscy protestanci wyznania augsbursko-ewangelickiego posługiwali się również kancjonalami zawierającymi psalmy, pieśni, modlitwne rozważania. Jednak odniesieniem wszelkich norm postępowania było dla nich Pismo Święte. To w nim znajdowali wskazówki, jak żyć, czerpali prawdę, odnajdywali pociechę. Była tym, za czym tęsknił osamotniony w wielkim mieście Jons. „Kto nosi w sobie smutek, łatwo marznie. Chciałbym bardzo mieć przy sobie Biblię, ale za ciężka i inni śmieliby się. O Biblii mają niewysokie mniemanie. Przyjdą czasy, kiedy dopiero zaczną ją cenić”.

A jaki jest Bóg prostych mieszkańców Sowirodu? Przede wszystkim wszechobecny. Rozmawiają z nim, szczególnie, gdy dosięga ich śmierć, kalectwo, męczeństwo i udręka. Nie boją się odczuwać wobec niego żal o zbyt wiele cierpień, o zbyt ciężkie próby. W *Dzieciach Jerominów* padają gorzkie słowa kierowane do Boga: „Gdzie się podziały obietnice i objawienia? Ukochany ojciec... Ukochany ojciec.” Bo niezmiennie jest to Bóg-Ojciec, czasem łagodny, czasem zagniewany, oferujący tutejszym ludziom o szerokich barkach twardą boską dłoń, do której przez tysiąc lat z czasem przywykli. Potwierdza to Jakub Jeromin mówiąc: (...) Kiedy Bóg wyganiał ludzi z raj, nam przeznaczył pot (...). Mazurów cechuje ponadto wiara w mądrość boską i w boski plan. Im zaś pozostaje pokora i wiara w sprawiedliwość. Autor wyraźnie opisuje to we fragmencie: „Po wielkim umieraniu, przez kilka tygodni siedzieli cisi i zgnębieni u komina, załamując tylko ręce. (...) Bóg doświadczył ich losem dzieci i pastora, a teraz nie wiedzieli, co jeszcze zamierza. Mężczyźni nie wychodzili do pracy, kilka razy się upili i pobili żony. Kobiety się nie broniły, tylko siedziały nieruchomo, wpatrzona przed siebie. Skoro Bóg je opuścił, nie musiały praść, tkać, ani bronić się, gdy mąż odpasywał rzemień. Nie wiedziały, czym zgrzeszyły, ale Bóg wie to z pewnością.”

Świadomość grzesznej natury człowieka towarzyszyła prostym ludziom z Sowirodu niemal codziennie, tak jak towarzyszyło im Słowo Boże. Jednak dla nich nie wszystko co słodkie i zakazane było grzeszne. Jak czytamy w *Dzieciach Jerominów* „<<Grzech>> [dla Mazurów] był wielkim słowem, które z ambony brzmiało poważnie i pięknie, natomiast codzienność nie była tym, do czego pasowałyby wielkie słowa i czasem myśleli sobie w skrytości, że słowo to wynaleźli panowie, żeby biedni nie pożąдали tego, co oni pragną zachować wyłącznie dla siebie”. Toteż kradzież drewna na budowę kościoła długo nie była postrzegana jako zło, za tym stał bowiem szlachetny cel i sam Bóg był przyczyną działań. Podobnie kłusownictwo na pańskich terenach ma inny wymiar, skierowane jest bowiem przeciw możliwemu, nie Bogu.

Ponieważ prawo boskie w hierarchii owych ludzi zawsze przedkładane było nad ludzkie, toteż dochodziło do aktów przemocy w rodzinach, jak np. u wdowy Kroll, która tłukła synową kijem od miotły, gdy ta okazywała się niewystarczająco dobrą dla męża. Choć Sowirodu nie omijały drastyczne pobicia i morderstwa, wydaje się, że najczęstszym problemem rodzin mazurskich było pijaństwo i skłonność do rękoczynów, i to zarówno ze strony kobiet, jak i mężczyzn. W rodzinie Gogunów wybijanie „zaćmy pijackiej z mężowej głowy” odbywało się przy pomocy kamienia zawiniętego w chustę. Żona zarzucała też na nietrzeźwego małżonka wielką sieć, którą wiązała u dołu, „tak że niby pojmany jastrząb leżał na podwórzu, dopóki nie wytrzeźwiał”. Z kolei mąż Giny, gdy sobie podpił, ciągle jeszcze próbował tłuc ją pasem, lecz od kiedy na taką okazję zaczęła trzymać na kuchni wrzątek, by oblać mu ręce, zaniechał bicia. Motywy takiego postępowania doskonale ilustruje poniższy fragment: „Gogun często się upijał, a do jego plecionej kobiałki trafiało nieraz to, co nie ze wszystkim do niego należało, lecz był pobożny jak wszyscy Gogunowie. Gdy siedział w kościele i organy wypełniały przestrzeń dźwiękami, w oczach stawały mu łzy. Był grzesznikiem i wiedział o tym, a ponieważ wiedział, był pobożny. Żona objęła mu plecy

kamieniem i to też było słuszne. Była namiestniczką Boga, więc kiedy Bóg nie miał czasu zwracać na niego uwagi, owijała kamień chustką i tłukła. Wszyscy Gogunowie mieli porządne żony”.

Pomimo owych przewinień, jakie nosili na sumieniu ludzie ze wsi, mieli oni swój kodeks twardych zasad moralnych, które w konfrontacji z wielkomięjskim rozprężeniem obyczajowym były jeszcze nie naruszone. Młodego Jonsa szokowało wyśmiewanie się uczniów z nauczycieli, gorszyły fotografie nagich kobiet eksponowane w domu niczym wazon z kwiatami, podobnie jak nieskromne i wyzywające zachowanie młodych dziewcząt. „Wszystko to różniło się od życia, które wiódł dotychczas. Nie wiedział, że żyjąc w lesie byli zacofani o stulecie, że epoka naigrywała się już z wielu rzeczy, które tam były święte.”

Sowiróg położony był wśród szerokich lasów Puszczy Piskiej, nad spokojnym jeziorem, z dala od szlaków komunikacyjnych. Takie usytuowanie geograficzne z jednej strony rodziło silny związek mieszkańców z przyrodą, zacieśniało naturalne relacje społeczne, tworząc swoistą „leśną” wspólnotę, z drugiej zaś skazywało na pewną izolację. Nie czytali oni gazet, a to co wydarzyło się w okręgu lub na świecie, docierało do nich przez usta nauczyciela, który był dla nich niby Mojżesz na pustyni. Pogłębiało to ciemnotę i oddalało od wszystkiego co dobre w cywilizowanym świecie. Z pewnością śmierć nie zebrałaby tak straszego żniwa w roku gdy w okolicy zmarło kilkadziesiąt dzieci na odrę, którą z racji niewiedzy leczono terpentyną i rumiankiem. Strach towarzyszący ludziom lasu w takich chwilach poruszał niebezpiecznie wyobraźnię i sprawiał, że z rzeczywistością zaczynały się mieszać opowieści o wilkołakach i topielicach zaszytych w lesie, czyhających na nieuważnego człowieka, a magicznej, złowróżbnej mocy nabierały rzewne melodie wygrywane na flecie. Wówczas nawet niepozorny kołatek mieszkający w drewnianej belce czy pohukująca nocą sowa stawały się zwiastunami śmierci.

O poczuciu rozgoryczenia i cierpienia wśród Mazurów Wiechert pisze zarówno w imieniu całej społeczności, jak i poszczególnych jednostek. „Ona, Marta, od dwudziestu lat była niewolnicą. Niewolnicą męża i dzieci, i obowiązku szarej codzienności. Zaprzedała się marzeniu, lecz o pewnym brzasku marzenie to uleciało”. Znamienne jest pytanie bohaterki: Czy właśnie to było życiem? Czyż może nadejdzie jeszcze kiedykolwiek coś, co pozwoliłoby zapomnieć całą resztę, trud codzienny pełen znoju i goryczy? Lecz wszystkim mieszkańcom Sowirodu towarzyszy jedna refleksja: „Wszystko to było nieodmienne. Zgięło już karki ich dziadków i babek i zegnie także karki ich wnuków.” Pogodzenie się z własnym losem, które swoje piętno odciskało na surowych i zmęczonych twarzach, wspierała jedynie wiara, że choć „czoła mogły dotykać roli, kolana pyłu drogi, ale niżej, głębiej, było już miejsce tylko dla martwych”. Wówczas nawet śmierć może okazać się oczekiwanym wybawieniem. Na taką chwilę czekała m.in. wiejska zielarka: „Byłoby dobrze, gdyby wszystko nareszcie się skończyło. Miłość, nienawiść, chodzenie do lasu, głód i pragnienie, wszystko, wszystko. Ale to, co jeszcze nadejdzie zanim się tego doczeka, trzeba będzie przecież wziąć na barki i dźwigać, tak jak dźwigało się całą resztę”.

W *Dzieciach Jerominów* Wiechert podkreśla wyraźnie mechanizm radzenia sobie z brzemieniem biedy i beznadziei wśród chłopów. Z jednej strony kreuje postaci jak Jons Jeromin – przyszły lekarz, który widzi potrzebę zmiany nieakceptowanej części ich świata i wierzy w powodzenie własnych starań. Z drugiej zaś prezentuje szereg bohaterów, jak Michał Jeromin – najstarszy z synów, którzy sensu swego prostego życia dopatruje się w spójności z ziemią, w ciągłości swego rodu: „Zdawało mu się, że był przekonany, iż jeśli nie pozostawi po sobie dziecka, pokona go śmierć. Kiedy dziecko się już urodzi, przestanie być istotne, czy on sam pozostanie przy życiu, czy też nie. Chłopska krew, która w nim płynęła, nie domagała się ani szczęścia, ani rozkoszy, lecz tylko zapewnienia następstwa. Musiał pozostawić po sobie coś, co zespoliłoby go z przyszłością i dało jej pewność. Rola nie powinna leżeć odłogiem, a poręką, że tak się nie stanie, mogło być tylko dziecko, syn, który będzie kroczył tą samą brudną co ojciec.”

Z kolei ojciec – Jakub Jeromin podobnie jak żandarm Korsanke, czy nauczyciel Stilling – fundator stypendium dla najzdolniejszego z uczniów, nadzieję pokłada w poświęceniu i oddaniu, w wykonaniu swej powinności, jakim było np. samotne i surowe życie spędzone przy mielerzu, który gdy gasił wydawało mu się, że oto wygasza swoje własne życie.

Surowa przyroda, ciężka praca i poczucie izolacji sprawiały, że Mazurzy z Sowirogu obrastali w cechy dla nich specyficzne, mianowicie „milkliwość”, skłonność do zadumy, która zbliżała do Boga oraz powolność, widoczną w posuwistych, niespiesznych ruchach rąk i nóg, jakby ponaglanych jedynie wiatrem. Las natomiast odbierał im hardość i drapieżność, narzucając pewne otępienie i wewnętrzną cichość. Czynił z nich ludzi-traperów, doskonale orientujących się w terenie, czujnych i ostrożnych. Skromny byt i poczucie odpowiedzialności wymuszały solidność w pracy, której towarzyszyła powaga. Zabawa w Sowirogu nie była tym samym co zabawa i śmiech w mieście. Owa krew leśna, krew marzycielska płynąca w ich żyłach pozwalała im sięgać co najwyżej po tytuły lokalnych duchownych. Pokora wyniesiona z lasu kazała godzić się z niedolą i porzucić na samym początku myśli o wysoko uniesionej głowie. Bezpośredni związek z przyrodą wyrobił wśród mieszkańców wsi przede wszystkim wytrwałość, cierpliwość i odporność na ból. Jak mówił młody Jons Jeromin: Cierpienie jest przywilejem tych, którzy mają czas, a ludzie ubodzy ze wsi czasu nie mają, więc powinni wyzwać się z cierpienia bo odbiera ono siły.” Dzieci lasu przeżywały swój los godnie, bez skargi, jakby rozumiejąc, że praw losu odmienić nie można. Starły się tym samym odnajdować satysfakcję w prostym, uczciwym życiu.

Mazurów trafnie ocenił jeden z miejskich nauczycieli Jonsa, mówiąc:

- Przybywasz z lasu, a z lasu zawsze przychodziło do nas dobro. Nie przyjmuj nic z tego, co ci tu pokazują jako cudowności. To, co posiadasz, jest lepsze. Ucz się, ale się i nie oduczaj.